ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XVIII. Warszawa, dnia 13 marca 1926 roku. Nr. 11.

ALEKSANDER ALFRED KONAR. POWIEŚĆ Z CZASÓW PRZEDWOJENNYCH

11)

BEZ SERCA.

I aby coś powiedzieć, ziewając, zapytała wygalowanego z bokobrodami lokaja, który przyniósł jej pięknie udekorowany stolik z czarną kawą:

— Proszę mi powiedzieć, czy wieczorami w Lucernie poza temi przenudnemi koncertami w kasynie — niema żadnego teatru?

— Jest, proszę pani, teatr, ale zamknięty.

— Zamknięty? Doskonale. Zapewne przerobiony na hotel.

— Nie. Przedstawienia odbywają się, ale tylko w sezonie zimowym.

— A czy w Szwajcarji niema gdzie jakich śpiewaków, jakich spotyka się w całym Tyrolu? To przecież wasza specjalność te chóralne ensemble ukostjumowanych jodlujących Tyrolek i Tyrolczyków, z których jeden akompanjuje na cytrze — przypomniała sobie z Meranu.

— Jest w sąsiedztwie pomnika lwa lucernejskiego piwiarnia w dużej hali, w której odbywają się takie chóralne koncerty. Ale wyższe towarzystwo z hotelów — zakonkludował z powagą dystyngowanego garsona—nie uczęszcza tam. Jedynie miejscowi fabrykanci, urzędnicy i kupcy.

— Sami ludzie pracy. Ani jednego próżniaka! Doskonale — podziękowała mu. — Wyższe towarzystwo! Przynajmniej przez jeden wieczór go nie zobaczę. Przynajmniej raz wnet po obiedzie (złożonym z 6-u potraw, nie licząc deseru) — nie położę się dziś do łóżka, aby znosić, jak od tygodnia, bezsennie do rana męki Tantala w walce z poprawianemi wciąż zbyt miękkiemi poduszkami. Aby tylko ten tour du lac już się raz wreszcie skończył! I ten obiad, z 6-ciu potraw, nie licząc deseru! O! Te ryby, nieznane, białe i tłuste, jak śmietanka, z jeszcze bardziej mdłemi sosami! I mdłe bażanty i perliczki. I szparagi z holenderskim sosem z lukrecji! A potem krem. Brr... A potem lulu do łóżeczka. Nie, nie za nic. Dziś po raz pierwszy zdobędę się na pewną zmianę: Awantura w postaci eskapady do Bierhalle. Cichaczem, jak sztubak na wagary — uśmiechnęła się na myśl tego żakostwa.

Przynajmniej przez jeden wieczór nie będzie słyszała śmiechu tych pań z wyższego ziemiaństwa.

A może... Zdarzają się przecież w życiu niespodzianki.....

Może właśnie tam w Bierhalle... — spadł jej z kolan Hachette — Fi! Cóż za nonsens!

— Ideał z Bierhalle? — wstrząsnęła z pogardą ramionami.

V.

Wielka, zadymiona setkami tanich cygar hala piwiarni była tak natłoczoną, że zdawało się, iż jedna szpilka więcej by się w niej nie zmieściła. I pani Hela jedynie dzięki uprzejmości pana oberkelnera, który odgadł po wytwornym płaszczu, zakrywającym doszczętnie wieczorowy strój, damę „z towarzystwa" — zdołała cudem zdobyć w tłumie maleńki stoliczek, przy którym zasiadła przy skwapliwie przyniesionym jej na żądanie kieliszku doskonałego włoskiego wermutu z biszkoptami.

— Ach! Jak mi tu dobrze! — roześmiała się odrazu jaknajlepiej nastrojona, z miną pensjonarki lub sztubaka, brojącego bez zezwolenia opiekunów.

— Cóż za wyśmienitym pomysłem była ta eskapada! Odetchnąć raz całą piersią w tym tłumie „ludzi", a nie marjonetek!

Rozglądała się z zaciekawieniem nowicjusza śród hali, przepełnionej ludźmi, nie tymi z pierwszorzędnego hotelu, sprowadzonymi krojem fraków i damskich dekoltów do wspólnego mianownika t. z. towarzystwa, które za bardzo średnio uczciwie zdobyte miljony karykaturuje dworskość zgilotynowanych markizów.

— Uf! Nareszcie raz bez wyższego ziemiaństwa z Podola i z Ukrainy, bez galicyjskich hrabin, bez bankowych wiedeńskich potentatów i matadorów wielkiego przemysłu!

Uczuła naraz sympatję do tych wszystkich urzędników z żonami i z córkami, dla tych wszystkich kasjerów, buchalterów i intendentów hotelowych, którzy, zrzuciwszy wstrętny mundur fraka, noszonego dla chleba wraz z ciążącemi na ustach olejodrukowemi uśmiechami dla zjeżdżających tu z całego świata zbogaconych próżniaków — rozkoszowali się raz na tydzień w swoich podniszczonych marynarkach przy kuflu piwa i rozmówkach ze swoimi przyjaciółmi.

Na ustawionych na estradzie w jednym rzędzie pięciu krzesełkach popisywał się w kłębach dymu kwintet tyrolski w swoich barwnych narodowych kostjumach z zielonemi obwódkami, w zielonych kapelusikach z piórkami, w krótkich zielonych pończochach z kolanami obnażonemi. Kobiety w gorsecikach z mnóstwem mosiężnych wisiorków, zawieszonych na łańcuszkach; a w środku nich siedzący stary tyrolczyk z olbrzymim wąsem brzękiem na cytrze akompanjował stojącym obok 2-m średnio przystojnym tyrolkom, z których jedna bajecznie wysokim sopranem „jodlowała" z maestrją jakiegoś nieznanego góralskiego ptaka. A druga wtórowała jej swoim bajecznie nizkim wiolonczelowym kontraltem.

Dwuch średnio przystojnych tyrolczyków, wysoki tenor i nizki baryton uzupełniali ten niezwykle umuzykalniony ensemble, brzmiący przedziwnie w swoich ludowych pieśniach, któremi produkowała się nie jakaś średnio utalentowana i mozolnie wyszkolona firmowa jednostka; lecz tworzył go cały naród bezimiennie pod suflerstwem jedynie jezior, gór, dolin i lasów. Zbiorowy wyraz ogólnej radości i smutków, wyssany z bólów i rozkoszy ojców i dziadów.

Pani Hela ze swemi niewygasłemi nigdy aspiracjami artystycznemi była wprost oczarowaną tym ekstraktem żywiołowych nastrojów z tajemniczemi tęsknotami duszy ludzkiej, które ją wprost upajały.

— Dzięki Ci Boże za ten pomysł „awantury" — egzaltowała się, składając ręce, jak do modlitwy. — Pomyśleć, że można tak chodzić wiecznie tuż tuż obok szczęścia, które nieoględnie omija się.

Na estradzie tęskna pieśń tyrolska brzmiała:

„Wenn ich mich nach der Heimath sehn,
Wenn mir im Aug die Thränen stehn,
Wenn Herz mich drückt halt gar zu schwer,
Dann fühl ichs Alter um so mehr".

Pieśń urwała się. Dokoła zagrzmiały oklaski rozpoetyzowanych piwoszów.

W antrakcie, podczas którego artyści, siedzący na estradzie, zupełnie bez pozy gwarzyli ze sobą, jak studenci na pauzie — jakieś bardzo gwarne towarzystwo mężczyzn ze starannie wyszorowanemi rękami po sklepowej, czy też warsztatowej pracy wraz z odświętnie wywstążkowanemi i wypomadowanemi kobietami — stanęło napastliwie przed tym jedynym, niezatłoczonym stolikiem samotnej damy burżujki.

Stolik ten, zaakaparowany przez kelnera w kulcie dla tej jedynej tu damy z towarzystwa — raził tę demokratyczną publiczność, przyzwyczajoną sans façon przysiadać w braku miejsca do stolika obcych ludzi. I stary wyga pan Oberkelner, przeświadczony, że stolika cudzoziemskiej damy nie obroni — wpadł— zdaje się pod sugestją sąsiadującego gościa, także obcego i samotnego gentlemana „z towarzystwa" — na genjalną propozycję:

— Tu przy tym stoliku państwo i tak się nie zmieścicie; lecz przy tym dużym stole tuż obok; o ile by ta pani pozwoliła, aby ten pan z dużego sąsiedniego stołu przysiadł się do niej. Przystawiłbym mu wtedy do siedzenia ten oto mały stołek bez oparcia.

— Bitte sehr—z musu zgodziła się bardzo niechętnie pani Hela, nie zauważywszy nawet przedtem narzuconego jej teraz sąsiada — zdecydowana z wielkim żalem koncert wnet opuścić.

Przy stoliku jej stanął młody, przystojny, smagły kasztanowaty szatyn o bardzo regularnym profilu, ze zmysłowemi ustami, o dużych jasnych zniewalających młodych oczach. Jasne sportowe, znać że świeżo w Wiedniu zakupione ubranie ładnie układało się na jego proporcjonalnych kształtach. I w białej czapce z lampasem i z lakierowanym daszkiem w rodzaju czapek kapitanów okrętowych, w jaką tak chętnie stroją się letnicy — było mu szczególniej do twarzy.

— Pani pozwala? — zapytał po polsku.

— Proszę — rzekła dość wyniośle, nie podnosząc głowy, wcale niezachwycona spotkaniem nieznanego ziomka.

(D. c. n.)

TERESA SAPIEŻYNA. NOWELA.

ZŁOTNIK.

Na rogu skośnej ulicy, ze śródmieścia biegnącej w dół ku rzece, tuż pod prastarym klasztorem, wysoko wznoszącym się nad miastem, mieścił się mały sklepiczek, kramik - pracownia złotnicza. Miał on jedno tylko nieduże okno wystawowe, za którem po całych dniach siadywał złotnik, i z lupą w oku, pochylony nad warsztatem, dłubał w małych cennych przedmiotach. Przy samem oknie były drzwi szklane, prowadzące do tej małej nory pracowniczej, za którą znajdowała się druga izdebka, służąca za mieszkanie, i niewielka kuchenka.

Te ciasne trzy pokoiki były królestwem złotnika. Nie jego tylko, ale jego dziada i pradziada. Z ojca na syna, przekazywali oni umiłowanie cyzelerskiego rzemiosła i ludzie chodzący wiecznie tak samo w górę i na dół ulicy patrzyli zmieniającemi się oczyma na coraz inne przy warsztacie sylwety następujących po sobie generacji.

Po śmierci dziada, widziano tu przez długie lata kościstą twarz ojca, o długiej brodzie. Po jego śmierci, dzisiejszy właściciel pracowni, młody Hilary zasiadł za warsztatem i jasną swą głową, o skupionem czole, wiecznie pochylonem, radował wzrok przypadkowo rzucony w stronę szyby. Złote włosy nosił w tył zaczesane, a głębokie, fioletowe oczy patrzyły łagodnie i smutno, jakby pytająco. Nieśmiała niewiedza dróg życiowych i losu, który tu właśnie, a nie gdzieindziej, kazał pędzić żywot... Może i dlatego, nie nosił w sobie gorzkiego sądu, miotającego w bezsenne noce przekleństwa na koleje życia, na szarość dni, na beznadziejność przyszłości. Może dlatego, trwał w spokoju na wzór dziadów i pradziadów i nawykał do swej czynnej samotności, do małych izdebek i do hałaśliwej ulicy, narzucającej się swoją ruchliwością.

Ulica ta musiała być od wieków przesmykiem ludzkim, wiodącym od nieznanych, dawno zapomnianych i nic nie wartych dla ludzkości, ani dla miasta, siedzib, do onej rzeki w dole płynącej, co lśniącą wstęgą niosła się w głębokim jarze, jak w ramionach olbrzyma. Dawniej była zapewne wąską ścieżyną, znaczoną w głębokim piasku wężową linią dwojakich bruzd, wybitych przez mozolnie wleczone wózki chłopskie, za sennym koniem idące posłusznie. Dziś pyszniła się odrębną, własną nazwą, prawie jak w cywilizowanym kraju. Boć wokół niej rozłożył się gród. Na całej przestrzeni powstawały mieszkania ludzkie z cegieł i kamieni, oblepiające nadrzeczne stoki góry nierównym rysunkiem obdrapanych murów i żałosnym widokiem różnorodnych, brzydkich dachów. Znikły głębokie bruzdy posłusznych chłopskich wózków, a na ich miejsce poukładali ludzie okrągłe kamienie, po których ślizgały się boleśnie kopyta małych chłopskich koni, a wózek, sunący niegdyś tak ci-

cho, podrygiwał w konwulsjach z przeraźliwym stukotem.

Klasztor wyniosły i piękny, z daleka widny ze swą samotną wieżycą, wznosił się tu od prastarych czasów. Wieża stała wysoka, dotykając chmur koronkowym, żelaznym krzyżem, osadzonym nad potrójną kondygnacją ozdobnych, coraz węższych, jak stalaktyt części, wyrastających z wysokich dachów gotyckich i zębatego frontonu. Podwórzysko klasztorne okalał mur potężny, gdzieniegdzie ukosami wgryzający się w stok. Tuż nad miejscem, gdzie mieścił się kramik Hilarego, przerywał się mur i tworzył bramę, do której wiodła podmurowana, mocno spadzista droga. W święte dni płynęła tędy fala pobożnych, a w czasie uroczystych odpustów podwórzec i zbocze góry pokrywały się nieskończonym tłumem. Za klasztorem ciągnęły się rzędy małych domków, coraz uboższych i brudniejszych, zdążających ku nizko nad wodą położonemu drewnianemu mostowi. Tędy płynęła główna, hałaśliwa fala życia mieszkańców i huk jej bił dzień i noc o szybę Hilarowego okna. Zwłaszcza nocami huczał głośno o nierówne kamienie łoskot kół, płosząc sen. Wtedy młodzieniec leżał, wpatrzony w nic nie dającą ciemność i bezwiednie łowił do końca odchodzący głos wozu, jak zapadał ku rzece i ginął we wnękach jaru.

Tylko w tym kierunku idące wozy hałasowały tak nieludzko; bo w górę każdy drapał się wolno, wolniusieńko, spokojnie i ciszej.

Od niemowlęctwa swego pamiętał Hilary te odgłosy i huki nocne, tak tajemnicze i straszne; bo nawet dziecinna myśl, wyrwana ze snu, chwytała się z niepokojem, wśród ciszy nocnej, tej jednostki ludzkiej, tak niewiadomo poco huczącej niemiłosiernie po nocy klekocącym wozem po nigdy nie wypoczywającej ulicy. Chłopięce swe lata przebył daleko. Gdy odumarła go młoda matka, ojciec, nie wiedząc, co z nim robić w ciasnej norze, powierzył go krewnym z innego miasta.

Hilary przebył do lat szesnastu w tamtejszem kollegjum, zdołał nawet zebrać sporą dozę wiadomości. Zawezwany przez starzejącego się rodzica, rzucił wszystko. Wrócił do domu i począł uczyć się złotnictwa.

Z początku wyrywał się chłopak — nie do miasta, ani na kipiącą życiem ulicę, lecz do książek. Potem siłą rzeczy musiał duszę rwącą się do spraw nieznanych przykładać do sztuki cyzelarskiej, którą uprawiał ojciec i dziad i pradziad. Palce pojęły rychło misterny kunszt przytrzymywania mikroskopijnych przedmiotów, na których miał rylcem wyrzynać misterne rysunki.

Z lupą w oku, począł cyzelować z lubością zwłaszcza złoto, lśniący szlachetny kruszec, którego płowe blaski pokochały jego oczy i zdolne, mądre palce. Zdobył wnet taką sławę, że nieraz z innych miast przywożono mu cenne roboty, i gdy po kilku latach, pochowawszy starego ojca, został sam w warsztacie, nie wyrywał się już iść gdzieindziej, lecz z zapałem długie dnie, rok po roku, spędzał samotnie nad robotą. Grosza uzbierał sobie nieźle, w szkatule pod łóżkiem w tylnej izdebce, o której tylko bury kot wiedział, stary przyjaciel. Powiększenie majątku nie nakłaniało jednak Hilarego do wyprowadzki ze starego kramiku. Z każdym dniem, który mijał, taki sam, jak każdy inny, czuł Hilary, że to miejsce kocha coraz więcej.

Samotnikiem był zupełnym; nie lubił nawet ludzi. Może najbardziej do tych lgnął, co, nieznajomi i niewidzialni, po nocach z hałasem zjeżdżali w dół ku rzece. Biegł myślą za nimi, na most drewniany jak wjeżdżali i długo, wolno, z cichym tupotem, przenosili się na drugą stronę, by wydrapać się na uciążliwy, jeszcze wyższy brzeg.

Za dnia, gdy tuż za szybą siedząc, był blizko przechodniów, mknących chodnikiem, nie zajmował się nimi wcale. Byli mu obojętni. Ot, codzienni jacyś ludzie z onych brudnych, małych kamienic, którzy swym gminnym wyglądem razili jego oczy, nawykłe do ozdobnych kształtów, szlachetnych kruszców. Znajomości miał niewiele; trochę rodziny dalszej, do której udawał się czasami, w niezaciekawiające go odwiedziny. On ze swojej strony również mało im dawał, poza swym melodyjnym, spokojnym głosem i ładną, smukłą postacią. Nie pił, nie grał, nie hulał; kobiety przejmowały go niezrozumiałym lękiem. Czasem po drżeniu wewnętrznem poznawał, że to kobieta zatrzymała się przed jego szybą i że niepojęte spojrzenie kobiecych oczu spływa na niego, na jego głowę, na twarz, na całą istotę płonącą w tej ciemnej norze, jak ofiarny ogień dla samoświadomej potęgi istnienia. Postać odchodziła przecież, nie unosząc ze sobą najmniejszej nawet okruszyny duszy młodzieńczej, a tylko obraz jego jasnej głowy, cienistych oczu o fioletowych źrenicach, co nigdy nie byłyby wyjrzały, by ją spojrzeniem objąć.

Gdy zaś zgrzytnęły drzwi i na progu stawała pani, przynosząca mu zamówienie lub naprawkę drogocennego drobiazgu, wtedy ogarniało go ciepło wdzięczności, że do tej wielkiej jego samotności zajrzała kobieta... Rad był jej, jak kwiatu, czy brzydka była czy ładna, młoda lub starsza.

Najsilniej umiały go chwytać te myśli i przywidzenia w nocy, gdy zbudzony hukiem, marzyć zaczynał tajemniczo.

Kiedyś leżał długo, przewracając się z boku na bok i majaczyła mu się misterna, włoskiej Castellaniego roboty brosza, którą dnia tego był otrzymał do naprawy. Arcyfiligranowe jej ozdoby splatały się w labirynt złotych koronek, na którego szczycie tkwił pyszny fioletem ametyst. Roboty przy tej broszy miał dużo i żmudnej; oczy zmęczone pod wieczór odmówiły posłuszeństwa. Teraz niezrozumiały rysunek klejnotu nawiedził jego myśli i bezustannie tkwił przed oczami.

W pewnej chwili, usłyszał turkot po bruku, coraz bliższy i mocniejszy. Tupot pary koni jął napełniać głuszę nocy miarowemi uderzeniami podków. Turkot ciężkiego wozu przeraźliwie wbijał się w mózg, raniąc boleśnie senne nerwy. Nagle wszystko stanęło; huk zamarł w powietrzu i w ciszy, która nastała, tuż blizko szyby, usłyszał Hilary głos mężczyzny... urywane, gniewne słowa, a potem wyraźnie płacz kobiecy. Głośny, żałosny, proszący płacz.... z bolesnem skandowaniem łkania. Nim Hilary, zerwawszy się z łóżka, mógł ogarnąć szalone bicie serca, turkot zawarczał nanowo, konie wszczęły wieloraki, dzwoniący głośno tupot i wszystko coraz szybciej oddaliło się w dół ku rzece.

Hilary przez mgnienie oka chciał gnać, krzyczeć i wołać; skoczył ku oknu, lecz już nic nie zobaczył. Runął na łóżko i drżenie swoje, dziwny, przemożny, samotniczy żal dławił w sobie, dusząc twarz w dłoniach.

(D. c. n.).

63)

CZARNE SKRZYDŁA.

Co się działo potem, Tadeusz nie pamiętał prawie. Skoczył naprzód, chwycił kolbę. Zimny, zwarty dotyk lufy karabinu! Coś znanego rękom, wszystkim mięśniom, — samemu sercu...

Wykręcił policjantowi karabin z garści, — siegnęli się w przód, w tył i granatowy dryblas spadł z hałdy.

Mieniewski pragnął uśmiać się z tego dosyta,— już ani jednej sekundy do stracenia! Bił się. Deptali mu straszliwie po nogach, całą kupą runęli na ziemię, powstał pierwszy, zderzając się z wysrebrzonym oficerem. Złapali się za piersi.

— Czego chcesz, czego chcesz od tych ludzi?!— wrzeszczał Tadeusz. Krew mu płynęła z ust. Przypomniał sobie piąte przez dziesiąte, — mają tu robić rewizję, szukać broni, jakieś donosy, — prowokacje...

— Ja tu jeden, — krzyczał, — mam broń, ośle! Ja jeden! Syn posła Mieniewskiego, leadera, cholero! Ja jeden, znakomity człowiek, panie komisarzu,—może nie?! Sejm, — interpelacja, — na pysk pana wyrzucą!

Wyrwawszy z raglana książeczkę paszportową, otwarłszy na właściwej stronicy z fotografją, podsuwał pod nos oficerowi, wrzeszcząc —: Patrz pan, Mieniewski, Mieniewski, — interpelacja, — wyrzucą, — Mieniewski, — leader!

Oficer zagwizdał trzykrotnie, łańcuch policjantów przystanął, zelżał. Rzymianie z pobliskich pagórków śpieszyli żłobinami hałdy pod górę, by się przypatrzeć z bliska. Tylko chór wewnątrz „gontyny" nie ustawał. Głosy kobiet, podcienione omroką basów, rozlegały się jeszcze donośniej.

Oficer jedną ręką wziął od Mieniewskiego paszport, drugą z kieszeni bufiastych „pryczesów" wydobywszy chusteczkę zaprasowaną, podawał,—„gwoli" otarcia krwi z rozbitej wargi.

Będzie to co najwyżej pęknięcie, — dodał.

Dyszeli obaj, zionąc ku sobie smugami mroźnego wydechu. Tadeusz przytykał chustkę do warg i odejmował, by wpatrzywszy się w rumianą facjatę oficera, powtarzać —:

— Tak, panie komisarzu. Mieniewski, — Mieniewski, — Mieniewski. Porucznik rezerwy. — Mieniewski. — Na tle niedawnej kłótni z ojcem o nazwisko, jakaż teraz wynikała z tego ironja?!

— Co za cholerę robicie tu, ludzie? Co za cholerę, — no no?!...

Komisarz tłómaczył się rozkazem starosty i całkiem pewnym donosem.

— Mnie pan będzie straszyć rozkazem! — przerwał Tadeusz. — Idjotyzmy!

Ułożyli, że zostanie spisany protokół z księdzem. Na podstawie odnośnego paragrafu, czy rozporządzenia o nabożeństwach.

— Żadnych rewizyj, po wsi. Komu trzeba, powie pan poufnie, do ucha, kto się tu znalazł przypadkiem.... — Trzy razy powtórzył oficerowi do ucha, tajemniczo „Mieniewski", — trzęsąc się ze śmiechu.

— Rozumie pan? Srebrne guziki, pasek, naszywki na rękawie, — bardzo ładnie, ale cóż z tego wynika? Jesteś pan skazany na to! Czyż nie?!

Na rozwalonym progu „kontyny" ukazał się ksiądz Kania. Tadeusz przeszedł mimo. Zatrzymawszy się za rogiem, zawołał —: No?! Gdzie jesteś?— Myślał o Lenorze.

Nie była daleko, zaraz, blisko, — nie chciała robić wstydu swoją osobą w takiej chwili.

— Nie zawracaj sobie głowy,—ucieszył się Tadeusz, — idziemy, chodź!

Zeszli razem, w dół. Drugi łańcuch policji dążył już ku „Rzymianom", zapraszając łagodnie do rozejścia się. Na hałdzie ucichło. Ksiądz Kania w złotych ornatach tłómaczył coś posrebrzanemu komisarzowi.

Lenora śpieszyła za Tadeuszem o krok w tyle, zawstydzona i zachwycona nad wszelkie wypowiedzenie. Odeszli spory kawałek, a dopiero pod laskiem odważyła się westchnąć: —

— Powinni ci dać numer w hotelu i wikt przez pół roku darmo, — za to wszystko.

Tadeusz usiadł na kamieniu i rozważał. Powiedział nawet, nad czem rozważa, gdy mu zmieniała kawałki lodu do okładu na wargę. Nad tem, że ile razy o byle co, o wszystko, przy każdej sposobności spotkają się tu ludzie, jeszcze, nim słowo powiedzą, zaraz się walą. Walą się i łżą.

Lenorka nie lubiła takich wspomnień. Mogło się to tyczyć kogo innego, a mogło być przystosowane i do niej. Po co?

Orzekła rozsądnie, że każdy wszędzie ma swój fason, większy albo mniejszy, — wszystko jedno, i ze zgrozą zaczęła oglądać wszystkie uszczerbki, które poniósł dziś raglan.

Rękaw prawie z pachy wyrwany, trzy guziki stracone, a niewiadomo, czy podobnych dostanie gdzie w Osadzie.

Tadeusz nie odpowiedział. Wzięli się pod ręce i chodzili po lesie w różne strony. Drogą, małemi ścieżkami po dobrze przymarźniętej brózdzie. Potem była regulacja, — wiele rowów, na wzdłuż i na poprzek. Skakali przez nie, śmiali się do syta z komisarza i z bójki i ze wszystkiego, — aż oboje bardzo zgłodnieli.

— Przyniosłem obwarzanki, alem zjadł sam, u was, na przyzbie.

Odpowiedziała grzecznie, aby mu poszły na zdrowie. Z tego wynikło, iż trzeba wracać, dowiedzieć się, jak co, najlepiej zajść do Martyzelów.

Szli tam ze trzy kwadranse, ciągle słońcem, jedno przy drugiem, nie wiedząc wogóle, która może być godzina, gdyż w bójce zegarek stanął Mieniewskiemu. Miał szkło rozbite i nie tykał.

Lenorka zegarka nie „nosiła w życiu", wstawała zawsze „na buczki" kopalni, wiedziała jednak, że każda reperacja w tym względzie będzie droga. Wiedziała to od brata, który zawsze przepadał za wszelkiemi przyrządami.

U Martyzelów zastali ciszę i spokój, jakich się wcale nie spodziewali. Nie było nawet słuchu o jakimś poczęstunku,—czy coś. Nikt nie mógł się dziwić w podobnym wypadku.

Strzałowy, Józef, leżał na łóżku, pod ścianą, nie odzywał się, coś mu w piersiach odbili, myśli nasuwały mu się na czoło w zmarszczkach grubych, wodził oczami wszędzie, byle nie w stronę żony. Stała w nogach łóżka, nieporuszona, smutna, jak cień.

(Dok. nast.)